

## Rozdział I

Był upalny dzień. Miasto spowite w tumanach wznoszącego się kurzu z powierzchni zatłoczonych, piaszczystych ulic Messyny. Tysiące mieszkańców i pielgrzymów z całego świata przewijało się, goniąc gdzieś za własnymi sprawami. Muzułmanie, chrześcijanie, judaїści, jazydzi. . . Prawdziwa mieszanka wszelakich kultur z bliskiego wschodu oraz Europy. Pośrodku miasta wznosił się pałac Paladyna, niegdysiejszego władcy metropolii. Teraz należał do Europejczyków, którzy najechali te ziemie przed dwoma laty, w roku 1189. Monumentalny, biały gmach, wzniesiony z tak zwanego arkadowego, wulkanicznego kamienia przywiezionego ze wzgórz Golan. Niektórzy zwą pałac: „kasabah”, na wzór afrykańskich fortec górujących nad miastami. Budowla stoi tu już od przeszło stu pięćdziesięciu lat, wybijając się swoimi wieżami wysoko ponad resztę zabudowań, już po kilku latach od wzniesienia przechodząc szeroko zakrojoną inkastelację. Dwie ulice dalej stał kościół Świętego Franciszka, dawniejsza główna mekka miasta. Budowla licząca sobie około czterystu lat, dumnie wznosiła się pośrodku największego targowiska, gdzie panował zawsze duży tłok. Wrzask setek kupców, szum niezliczonej ilości nabywców, żebraków, pijaków i żołnierzy – nieodłącznie towarzyszył temu miejscu od zawsze.

W cieniu bazyliki, jak nazywali ów kościół katolicy, pod głównym wejściem stał zakapturzony mężczyzna w długiej, białej szacie sięgającej do kostek, spod której wystawały ledwo widoczne, skórzane buty o twardej podeszwie. Biała szata była jednolita, czysta, podobna do odzienia, jakie nosili mnisi czy zakonnicy. Skórzany, gruby pas z medalionem pośrodku, na którym widniał wygrawerowany wizerunek ludzkiego oka, podtrzymywał ekwipunek, jaki mężczyzna miał do niego przypięty. Zawieszoną także miał tu małą, brązową skózaną sakwę, zamykaną na sznureczek. Była wielkości najwyżej zaciśniętej pięści. Na rękach zaś przedramienniki, również skórzane, w kolorze ciemnobrązowym. Zarzucony na głowę nisko kaptur zakrywał niemal całkowicie twarz, która niknęła gdzieś w cieniu przezeń rzucającym. Nie widać było oczu, tylko zamknięte w bezruchu nieduże usta, które nie zdradzały rysów twarzy mężczyzny. Człowiek ten niewątpliwie wzbudzał lęk przechodzących obok ludzi. Nikt nie zbliżał się na odległość, która pozwoliłaby dosięgnąć go wyciągniętą prosto ręką. Jednak nie było wyraźnych powodów, dla których mógłby on budzić ten niepokój. Stojąc nieruchomo w miejscu, rozglądał się tylko po targowisku, delikatnie ruszając głową w lewo i prawo. Najprawdopodobniej czekał na kogoś lub na coś, co miałoby się za chwilę zdarzyć. Trwało to już jednak dłuższą chwilę i nadal nic szczególnego nie miało miejsca. Niespokojni ludzie przechodzili obok tajemniczej postaci, bojąc się rzucać jej spojrzenia. Niektórzy brali go za mnicha, inni za templariusza, jeszcze

inni za krzyżowca. Jedno jest jednak pewne, nie pochodził on stąd, nie był tutejszy, najprawdopodobniej przybył tu z Europy.

Słońce osiągnęło już niemal pełną wysokość, dochodziło południe. Niesamowity skwar zdawał się nie robić wrażenia na nieznanym, kryjącym się w cieniu kościoła.

W chwili gdy dzwon na wieży uderzył trzykrotnie, oznajmiając południe, z tłumu wyłonił się wysoki człowiek, ubrany niemal identycznie, jak nieruchomy Europejczyk. Spokojnym, rytmicznym krokiem mijał kolejne stragany, zmierzając w kierunku nieznanego. Lewą ręką nadawał sobie spokojny rytm marszu, prawą zaś trzymał za pelerynę, luźno oraz bezwładnie opadającą na klatkę piersiową. Idąc, nie rozglądał się w ogóle, nie zerkał spod kaptura na mijanych ludzi, nie zdradzał zupełnie zainteresowania tym, co się działo wokół niego. Szedł prosto przed siebie. Już dochodził do Europejczyka, gdy nagle minął go, nie zatrzymując się, ani nawet nie zwalniając kroku. Minąwszy go, obiema rękoma już wyznaczał sobie rytm marszu, który wyraźnie stał się zwawszy. Europejczyk schował zaś coś do prawej kieszeni; coś co w oczach nielicznych świadków tego błyskawicznego zdarzenia zdało się być skrawkiem papieru oraz białym piórem. Podniósł teraz wysoko głowę, szerokim ruchem szyi rozejrzał się, ręką poprawił kaptur i zniknął gdzieś w tłumie. Nikt zbytnio nie zastanawiał się, co właściwie miało tu przed chwilą miejsce oraz czego mogli być świadkami. Może to nic nadzwyczajnego. W końcu Messyna to miasto, gdzie wojna jeszcze niedawno brukowała krwią ulice, gdzie wojsko nadal, mimo dwóch lat od obalenia Paladyna, który zbiegł stąd, cudem ratując własne życie, nie potrafiło zapanować nad mieszkańcami. Morderstwa, gwałty, rozboje – stały się odtąd tu czymś powszechnym. Kogo więc może dziwić owo niecodzienne spotkanie pod Świętym Franciszkiem?

Po drugiej stronie miasta, nieopodal dzielnicy portowej wznosił się nieduży budynek z czerwonej, surowej cegły, jedyny taki w całym, liczącym sobie niemal czterysta tysięcy ludzi mieście. Gmach należy do zakonu templariuszy, jest jedną z wielu zresztą własności zakonu w Messynie. Zbudowany na wzór europejski, ponury, prosty. Nie ozdabia go żadne urozmaicenia, wąskie lecz wysokie okna z grubej szyby głęboko wcięte w ściany budynku. Dach stromy, w kształcie trójkąta równoramiennego, pokryty ciemnogrnatową dachówką. Jedyne wejście, wysokie na trzy metry, jest strzeżone dzień i noc przez dwóch wartowników należących do zakonu, co było widać po ich ubiorze. Nie trzeba być znawcą, by móc ich rozpoznać. Długie, powłóczyste szaty w kolorze zgniłej czerwieni, sięgające kostek. Sztywne, czarne buty do kolan. Na pelerynach mają wydziergane czarne krzyże na metr wysokie. Na szyjach zaś zawieszane łańcuszki ze srebra z wizerunkiem Chrystusa ukrzyżowanego. U pasa miecze z – zdaniem zakonników – najlepszej stali, jaką znał ówczesny świat: włoska stal kuta w miastach Półwyspu Apenińskiego w kilkunastu zaledwie, starannie dobranych zbrojowniach. Ostrze to nie ma prawie sobie równych. Długa rękojeść, idealnie dopasowana do rozmiarów dłoni, zdobiona bursztynem sprowadzanym znanym z Morza Bałtyckiego, uwieńczona stalowym orłem z rozpostartymi skrzydłami. Horrendalnie

ostra klinga, mogąca bez problemu rozplątać człowieka na pół. Broń jest ciężka, lecz siła uderzenia oraz spustoszenie, jakie potrafi ona uczynić uderzając w swój cel, powinny wzbudzać respekt każdego przeciwnika.

W środku właśnie miało miejsce spotkanie trzynastu spośród braci zakonnych, wewnątrz gmachu, w jednej z ascetycznie urządzonych, zimnych sal. Wokół długiego na kilka metrów masywnego stołu z bukowego drewna zasiedli starsi templariusze, ważniejsi rangą w całej swojej hierarchii, jaką przez długie lata zakon zdążył sobie wytworzyć. Sześciu po lewej stronie stołu i tylu samo po prawej. U czoła zaś najstarszy z zebranych – Al Massah, fratres capellani, wysoko postawiony człowiek, odpowiedzialny za nadzorowanie stosunków handlowych zakonu z miejscową ludnością. A przynajmniej oficjalnie odpowiedzialny za owe stosunki. Jego prawdziwa rola polegała na odbieraniu informacji napływających drogą morską z kontynentu europejskiego na Bliski Wschód oraz organizowanie czegoś na wzór tajnej poczty, którą zakon posługiwał się, by w tajemnicy przed Kościołem, który był zwierzchni względem templariuszy, móc porozumiewać się ze swoimi braćmi na kontynencie. Rzym jednak wiedział o istnieniu owej, jak to nazywano, „poczty”. Miał też dość dobry wgląd do wiadomości przez nią przesyłanych. Wielu bowiem templariuszy na Półwyspie Apenińskim, przekonanych o słuszności polityki Kościoła, nie czuło potrzeby zatajania jakichkolwiek informacji, które były tą drogą wysyłane i odbierane. Jednak tego dnia, nazajutrz po szczególnym zdarzeniu, jakie miało miejsce pod kościołem Świętego Franciszka, Al Massah był w posiadaniu dokumentu o wiele donioślejszego dla zakonu niż cokolwiek, z czym przez całe swoje życie stary zakonnik się zetknął. Z Mediolanu dotarła przed dwoma dniami koperta z odcisniętym odwróconym krzyżem na pieczęci. Wszyscy zebrani wiedzieli, co oznacza taki symbol na kopercie. Bez wątpienia sprawa najwyższej wagi.

Każdy z nich ubrany w szaty zakonu, z kapturem opuszczonym z głowy. Tylko Al Massah nie zdjął swojego kaptura. Pochylny lekko nad stołem zdawał się patrzeć w jego błąt, nasłuchując tylko toczącej się w dużym pomieszczeniu rozmowy:

– Nie mamy pewności, czy oni nie wiedzą już o naszym darze – zaczął jeden z braci. – Carlo zapewnia jednak, że dar przyptłynął nierozpieczętowany, a nasz kryptograf nie dostrzegł prób sfałszowania pieczęci.

– Tak, lecz nadal nie wiemy, czy Rzym nie zna jego treści, a są przecież jeszcze psy Al Mualima. On już wie, w jaki sposób przenikać w nasze szeregi.

Dokument, który trafił w ręce Al Massaha, nazywany tu „darem”, nie znajdował się już w gmachu, w którym owo zebranie się odbywało. Przekazany został gdzieś dalej, być może do ludzi bezpośrednio pociągających za sznurki zakonu, a może nawet w jego posiadaniu jest sam Harraszim, najwyższej postawiona osoba wśród templariuszy w całym mieście, seneszał zakonu. Ogień świec usytuowanych na szerokim świeczniku, stojącym pośrodku, stołu zachwiał się na chwilę, jakby przez pomieszcze-

nie prześlizgnął się podmuch nikłego wiatru. Zakonnik z długą białą brodą, siedzący najbliżej Al Massaha, po jego prawej stronie, ciągnął dalej:

– Trzeba niezwłocznie powiadomić Jerozolimę, oni muszą wiedzieć jak najprędzej o nowych okolicznościach! Gruby ignorant, nasz, pozał się boże patriarcha jerozolimski, Herakliusz, choć zaszczyty w Akce, dużo węższy. . . O wiele za dużo.

– Racja, z samego rana, o świcie każę wystać gońca do stolicy – przytaknął kolejny z uczestników zebrania. – Patriarchą zaś powinniśmy się. . . zaopiekować. Odkąd poczuł władzę związaną ze swoim stanowiskiem, nie uda się go pokojowymi metodami przekonać do niemieszania się w sprawy naszego zakonu. Jak tylko głupiec wykupił się w Jerozolimie z niewoli Saladyna, stracił niemal całe swoje poważanie. Zdając sobie także sprawę z niepełnej popularności Gwidona de Lusignan, ukoronował jedynie jego żonę. To ona musiała wkładać później koronę na głowę swojego męża. Król więc także nie zmartwi się nagłą. . . niemocą patriarchy.

Gwidon z pochodzenia jest Francuzem. Do Ziemi Świętej przybył w 1180 roku, by pojąć za żonę Sybillę, starszą siostrę ówczesnego króla Jerozolimy – Baldwina IV Trędowatego. Ślub odbył się na Wielkanoc, pomimo sprzeciwu króla oraz baronów Królestwa. Nasilająca się choroba króla zmusiła go do oddania Gwidonowi w zarząd całego państwa, prócz samego miasta Jerozolimy. Baronowie w większości odnosili się do regenta z wyraźną niechęcią. Jego słabość charakteru przejawiała się brakiem umiejętności do podejmowania jednoznacznych decyzji. Bezskutecznie trędowaty król starał się pozbawić go dziedziczenia korony. Przeszkodziła mu w tym wczesna śmierć.

Siwy brodacz zmarszczył czoło, poprawił się na krześle, spuszczaając pelerynę z siedzenia na podłogę, po czym rozglądając się po sali, zaczął:

– Tyle lat poszukiwań, tyle litrów przelanej krwi. Nasi bracia walczyli i ginęli za tę sprawę, oddając życie utwierdzeni w wierze w jej prawdziwość. Nie możemy tego zlekceważyć. To niezaprzeczalny dowód na istnienie naszej zguby. Teraz trzeba całą naszą uwagę skupić właśnie na tym. Al Mualim z pewnością już wie, z czym mamy tu do czynienia. Nie jest głupcem i nie bez powodu Harraszim zawarł z nim rozejm. Choć z pozoru trwały, tak naprawdę pozorny, by uspić przeciwnika, by nie dać się zaskoczyć samemu. Trzeba nam podstępny i sprawnego działania. Szybkość naszym jedynym sprzymierzeńcem, gdyż nie łudźmy się i pozostawmy za sobą nadzieję w skrytość naszej prawdziwej misji w Ziemi Świętej. Duchowieństwo nieprzychylnie spogląda na nasz zakon. Omne Datum Optimum wzbudziło zazdrość innych zakonów wobec nas. Kościół nie może poznać naszych planów. Papież Celestyn III rozwiązałby wtedy nasz zakon. Niedawno wezwał nas do wyjaśnienia zasad działania naszej „poczty”. Wie już o przepływie informacji z Europy do Lewantu.

Świece na stole zamigotały mocniej po raz kolejny, niektórzy z zebranych poczuli lekki powiew zimnego powietrza na plecach. Zakonnik z końca stołu rozejrzał się niespokojnie po sali:

– Al Mualim zdaje się jednak zamykać w murach swojego zamku. Ostatnimi

miesiącami nie widać jego ludzi na ulicach miasta. Czyżby rzeczywiście coś planował za naszymi plecami, czy może nie jest świadomy naszych ostatnich... dokonań?

– Nie bądź naiwny, Hardhimie! – krzyknął najstarszy zakonnik, zajmujący miejsce po lewej stronie Al Massaha. – Oni po to tu przybyli, by nas powstrzymać! Choć nikt tego nie mówi głośno, to właśnie jest ich prawdziwy cel pobytu w Ziemi Świętej, chcą wydrzeć nam to, co do nas powinno zawsze należeć. Bredzą tylko cały czas o swoim wątpliwym światopoglądzie. Heretycy i samozwańcy! Zabrali nam w Mediolanie pamiętnik ojca tego młodego nizaryta z Saragossy, tak więc wiedzą dobrze, iż nie ma już czego szukać w Isfahanie. Trzech asasynów przybyło po niego do odbudowanego staraniem Ligi Lombardzkiej Mediolanu. Gomez, obecny strateg zakonu asasynów. Niejaki Malvik z Tebriz oraz Lester. O tym ostatnim wiemy tyle, iż jest synem tego starego pryka!

Hardhim poprawił się na swoim siedzeniu, bardziej teraz zaangażowany w toczącą się rozmowę:

– „Lester” wszak nie jest jego prawdziwym imieniem. Szpiedzy donoszą, iż nadzwyczaj często podróżuje do Persji. Może odwiedza samego Sinana? Raz udał się tam z pamiętnikiem właśnie. To by sugerowało, kto jest teraz w jego posiadaniu.

Z głębi słabo oświetlonej sali, pośród półmroków tam panujących, dało się słyszeć jakby nikły odgłos buta, delikatnie uderzającego o kamienną posadzkę podłogi.

– Słyszeliście? Cóż to mogło być? Nikt przecież nie ma prawa wstępu do tej komnaty.

W tym momencie siwy brodacz zaniepokoił się ciągłym milczeniem Al Massaha, siedzącego u szczytu stołu, tuż obok niego. Podczas całej rozmowy nie wypowiedział ani słowa, nie podniósł nawet wzroku na zebranych. Stale pochylony delikatnie nad blatem stołu, z kapturem zasłaniającym wyraz jego twarzy.

– Bracie? Nie masz nam nic do powiedzenia w tej sprawie?

Teraz świeca tliła się jasnym, niczym niezachwianym płomieniem. Na sali panowała idealna cisza.

Zakonnik nie ustępował, wyciągnął rękę i położył ją na ramieniu gospodarza. Ciemnobrunatna kropla spadła spod kaptura na blat stołu, tuż przed milczącym zakonnikiem:

– Bracie?

Delikatnie odchylił go do tyłu, tak że ten bezwładnie opadł na oparcie swojego krzesła, ukazując zebrany bladą, nieruchomą twarz. Oczy zimne, w bezruchu zwróciły się ku sufitowi wraz z całą głową opadającą z impetem na oparcie. Z szyi sączyła się duża struga brunatnej krwi. Rozpłatanie gardło, niczym przekłute niesamowicie precyzyjnym i ostrym narzędziem, ujawniło swoje wnętrza stale zalewane odpływającą z głowy krwią, niepompowaną już przez martwe serce. Wszyscy obecni gwałtownie podnieśli się ze swoich siedzeń, nikt jednak nie wydał bodaj jednego dźwięku. Zamarli w kompletnym bezruchu, tępo patrząc się tylko na ten niecodzienny

widok. Jakże potężne było ich zaskoczenie. Odchylony na oparciu trup Al Massaha obie ręce miał złożone pod stołem, jednak dało się zauważyć, że z prawej dłoni, zaciśniętej w martwym bezruchu, wystawało coś biało-czerwonego. Trwało dłuższą chwilę, nim w końcu siwy brodac, stojący nieprzytomnie najbliżej korpusu templariusza, wrzasnął ile sił w gardle, uwalniając swoim zachrypniętym, niemłodym już głosem:

– Straże! Straże!

Dźwięk wypełnił całą zimną i ciemną salę, jednak nie było żadnego odzewu, nikt nie opowiedział na ten krzyk, a za jedynymi drzwiami, którymi można było wejść do pomieszczenia, gdzie się znajdowali, nie dało się słyszeć żadnej reakcji ze strony pilnujących ich od zewnątrz dwóch strażników.

Wszystkich zmógł w tej chwili jeszcze większy, niemal już paraliżujący strach. Było jasnym, że Al Massah został zamordowany w ich obecności, podczas gdy oni toczyli swoją naradę. Mimo straży przed drzwiami do sali oraz przed samym budynkiem oraz przede wszystkim mimo tego, że oni tu przecież cały czas byli obecni, nie zauważyli nawet, kiedy napastnik zaatakował. Drzwi zdawały się im być cały czas zamknięte i rzeczywiście były. Zaryglowane od wewnątrz grubą, drewnianą, poprzeczną deską, tak jak sami je zaryglowali, wchodząc tu. Nie mogły zresztą być otwarte niezauważenie, gdyż były tak stare, że najmniejszy nawet ich ruch wydawał niesamowicie głośny i rozchodzący się po akustycznej sali skrzyp. Hardhim pierwszy zdobył się na jakiś ruch i wypatrzywszy biało-czerwony przedmiot w dłoni nieboszcza, podszedł doń i ostrożnie rozwarł ją. Jakże dopiero teraz przeszywający chłód poczuli na własnyc karkach, albowiem wszyscy zebrani mieli wiedzę na temat tego, co oznaczało białe pióro, zbrukane krwią ofiary je trzymającej.

– Asasyni!

– Boże, miej nas w swojej opiece!

– Jak to możliwe? Jakim cudem tu weszli niezauważenie? Dlaczego Al Massah? Searlimie, czy to oznacza, że Al Mualim zna nasze plany, czy może nawet jest w posiadaniu naszego daru?

Siwy brodac Searlim obrócił się za siebie i podejrzliwie rozglądając się po sali, odpowiedział:

– Nie ma już więcej potrzeby kryć przybyłych do nas wieści z kontynentu pod nazwą „daru”. Al Mualim wie z pewnością więcej, niż przypuszczaliśmy. Zadał nam bolesną ranę dzisiejszego dnia, uderzył tam, gdzie czuliśmy się bezpiecznie. Nie mamy wyjścia i musimy wrócić na ścieżkę wojenną. Jego asasyni z łatwością nie tylko przenikają między nas, ale i bezkarnie oraz bezszelestnie mordują, kogo tylko chcą, tuż pod naszymi nosami.

Przerwał nagle i ponownie wykrzyknął, tym razem z o wiele większym zdecydowaniem niż ostatnim razem:

– Straże!

Za drzwiami wciąż jednak panowała idealna cisza. Searlim wraz z najstarszym obecnym, siedzącym do tej pory po lewicy martwego już Al Massaha, ruszyli wolno w stronę zamkniętych drzwi. Głucha cisza nieodłącznie im towarzyszyła. Żaden z obecnych nie miał odwagi nic powiedzieć, na zewnątrz z kolei niczym niezmacony spokój zdawał się przybierać na sile. Gdy doszli już do grubych, mosiężnych drzwi, zdjęli rygiel i z przenikliwym łoskotem otworzyli je powoli. Pozostali ciekawi tego, co mogą tam ujrzeć, zbliżyli się również do otwartego właśnie wejścia. Jednak nie ujrzeli kompletnie nic. Długi, ciemny korytarz, prowadzący na mały placyk przed budynkiem, nie zdradzał żadnego ruchu, nic też na nim się nie zmieniło, poza dwiema rzeczami. Drzwi frontowe, prowadzące przed budynek, były otwarte na oścież, zaś dwóch strażników, którzy mieli pilnować korytarza, gdzieś zniknęło.

– Hardhim! Natychmiast udaj się do pałacu Paladyna i zaalarmuj senesza Haraszima o tym, co się tu stało – nerwowo, zatrwożonym głosem powiedział brodac, ocknąwszy się z niedowierzania temu, co właśnie zobaczył.

Dwa dni wcześniej, w północnej części miasta, w jego najbogatszej części, w jednym z budynków niczym niewyróżniającym się od tych, które go otaczały, młody człowiek w białej szacie z kapturem wertował książki rozłożone na ladzie przed nim. Było to nieduże pomieszczenie, przypominające sklep lub inne tego typu miejsce, gdzie świadczone mogły być różnego typu usługi. Urządzone było na wzór czegoś, co mogło również przypominać księgarnię. Za ladą, na całej długości i wysokości ściany, zbudowane były drewniane półki, na których stało mnóstwo książek, zapisanych zwoi i manuskryptów. Na samej ladzie, poza kilkoma książkami, które zostały przez właściciela tego domu tu położone, stał świecznik, trochę pustych skrawków papieru oraz masa różnego typu dokumentów. Przed ladą nie było żadnego krzesła, w przeciwnym kącie, po drugiej stronie znajdowała się zaś kanapa, obok małego stolika, na którym było mnóstwo narzędzi do obróbki papieru oraz wylewania pieczęci. Na ścianie ponad stolikiem wisiał atlas, wykonany z miękkiego jedwabiu o gładkiej i błyszczącej powierzchni, na którym widniał wizerunek otwartego ludzkiego oka. Tkanina miała rozmiary niemal dwóch metrów wysokości oraz 0,7 metra szerokości. Poniżej oka znajdował się napis: „Dahaka”, jeszcze niżej zaś: „Nie jest sztuką patrzeć, sztuką zaś jest widzieć”. Na podłodze rozłożony był sporych rozmiarów dywan z dużą, białą literą „A” pośrodku, odcinającą się wyraźnie od czarnego tła. Obok lady, naprzeciw wejścia, w którym nie było żadnych drzwi, tylko sama framuga w ścianie, znajdował się mały stojak z mieczem nań położonym, kilkoma sztyletami oraz przedramienniki z ciemnobrązowej skóry. Przez otwór w ścianie widać było następne pomieszczenie, wcale nie większe od tego pierwszego, gdzie znajdował się nieduży kominek, teraz tylko lekko się tłący ostatnim żarem, jaki jeszcze pozostał niedopalony. Jedynym źródłem światła było wąskie, aczkolwiek wysokie na ponad metr okno tuż ponad stojakiem z bronią w pierwszym pokoju. Było oszklone ciemną szybą, za którą widoczne

były dębowe okiennice, lekko uchylone, wpuszczając niemal nieznaczący, mały snop światła.

Młody człowiek sprawiający wrażenie erudycyjnego przerwał swoją lekturę, słysząc pukanie do drzwi wejściowych w drugim pomieszczeniu.

– Kto tam?

Cichy, młody głos zza drzwi odpowiedział natychmiast, pewnym tonem:

– Altair.

– Wejść proszę, przyjacielu.

Do domu, czy raczej czegoś jakby biura wszedł młody mężczyzna ubrany niemal tak samo jak gospodarz, z tą różnicą, iż oba przedramienniki miał już na sobie wraz z pełnym rynsztunkiem u pasa, na który składał się średnich rozmiarów, lekki miecz, wykonany z tak samo znakomitego stopu – a dokładnie toledańskiej stali – co miecze templariuszy, oraz mały sztylet ze srebrną rękojeścią niesamowicie bogato zdobioną, idealnie wyważoną do rozmiarów klingi. Pas z przodu uwieczniony był okrągłą klamrą z ludzkim okiem, co przypominało coś na wzór jakiegoś medalionu.

– Ciesz mi twoje szybkie przybycie, Altairze. Zniknąłeś ostatnio z Messyny na długi czas. Nikt nie wiedział, co się z tobą dzieje. Dużo ciekawskich oraz nieufnych osób już nawet zaczęło plotkować nieprzychylnie na twój temat.

– Witaj, Markizie, przyjacielu. Nie było mi w okolicy raptem trzy tygodnie. Miałem. . . Miałem własne sprawy do załatwienia, niecierpiące zwłoki, osobiste. Nie mają one związku z naszym zakonem. Nie czułem więc potrzeby dzielenia się nimi z kimkolwiek.

– Krążyły pogłoski, Altairze, iż nawet w tajemnicy opuściłeś zakon. Nie wszystkim spodobały się takie samowolne. . . wakacje, jakie sobie sprawiłeś. Widzę nawet, że zdobywałeś pamiątki. . . gdziekolwiek byłeś.

Mówiąc to, spojrzął na skórzaną sakwę, jaką asasyn miał zawieszoną u pasa.

– Nie odpoczywałem, zapewniam cię o tym. Udałem się daleko poza granice Królestwa Jerozolimskiego. Podążałem, można by powiedzieć. . . po dawnych śladach mego nieżyjącego ojca. Teraz wszak jestem tu, w tajemnicy przed ludzkimi oczyma, w ciszy i pokoju. Nasz ojciec, przewodnik zakonu, polecił mi, bym stawił się u ciebie najszybciej, jak to jest możliwe.

– Nie ufasz mi, widzę. . . Dlaczego ukrywasz swoją przeszłość? Co masz w tym worku u pasa? Czyżbyś poszedł w ślady Avatara, który dokonał chyba największej kradzieży w historii?

– Dużo pytań zadajesz, bracie. Za dużo pytań. Niech zadowolą cię to, iż byłem w Persji. Nic więcej ode mnie się nie dowiesz.

– Coś mi mówi, iż złożyłeś wizytę sułtanowi Tughrilowi. Z tęsknotą zawsze spoglądałeś na północny wschód.

– Powiesz mi wreszcie, co ojciec dla mnie przygotował, czy będziemy dalej bawić się w zgadywanki?

– A tak, ojciec. W swej wielkiej mądrości przewidział, co będzie miało miejsce wkrótce. Doszły go słuchy o ostatnich poczynaniach templariuszy. Nie czas teraz na trening, nie czas na obserwowanie. Czekają nas prace, Altairze.

– Jestem gotowy przystąpić do dzieła. Kto jest naszym celem?

– Al Massah, fratres capellani, jeden z ważniejszych braci zakonnych templariuszy. Od ośmiu lat mieszka w Messynie. Nadzoruje i koordynuje handel w dzielnicy portowej, jak zapewne już wiesz. Nie jest też dla Ciebie nowym, że w tajemnicy zorganizował tajną drogę pocztową, którą komunikuje się z zakonem na Półwyspie Apenińskim. Nie stanowił nigdy dla nas większej wartości, nie był też ważny. Jednak dziś rano przyłynął statek z Mediolanu wraz z rumem pod pokładem, w ładowniach. Skryty pod fałszywą portugalską banderą, oficjalnie żeglujący na linii Mediolan – Messyna, w celach handlowych i kupieckich. Na pokładzie znajdował się młody portorykanin – Germutto El Fuccio, powiedzmy: „kurier”. Templariusz, jak nietrudno zgadnąć. List, który przywiózł ze sobą, jest dla nich ogromnie cenny. Nie wiemy, czego dokładnie dotyczy, ale mamy pewne podejrzenia odnośnie treści w nim zawartej. Ten, ponownie uprosimy sprawę – „dokument”, jest również cenny i dla nas. Ojciec powinien więc go pożyczyć od naszych przyjaciół, templariuszy.

Przez Morze Śródziemne biegnie bardzo ważny oraz zatłoczony szlak handlowy, zwany: „lewantyńskim”. Łączy Europę z Outremer, a pośrednio i z Dalekim Wschodem. Jeszcze przed stu laty dominowali na nim Arabowie, Grecy i Żydzi, teraz prym wiodą włoskie miasta: Wenecja, Genua i Piza. Tam przywozi się głównie surowce i artykuły luksusowe, eksportuje się za wielką wodę zaś drewno, srebro oraz niewolników. Bilans tego handlu jest dla „chrześcijańskiego” kontynentu ujemny, co powoduje ucieczkę z niego srebra.

– Rozumiem, Piaski – odrzekł Altair. – Templariusze są bliżej swojego prawdziwego celu. Dokument pożyczymy, jak sądzę, w swoim czasie, gdy tylko ustalimy, kto teraz jest w jego posiadaniu. Czemu więc powinienem usunąć Al Massaha, skoro, jak mniemam, on również nie jest już jego posiadaczem?

– I tu jest nasz problem. Na statku mamy swojego szpiega. Podczas długiego i burzliwego rejsu nie zawsze można pilnować wystarczająco uważnie przewożonych przesyłek. Nasz człowiek rzucił więc okiem na pewne sprawy i na rewersie koperty, w której „da”, jak ów papier nazywają templariusze, się znajduje, zobaczył upoważnienia legitymujące tylko trzy osoby do poznania jego treści: mistrz zakonu templariuszy w Messynie – Harraszim, dowódca sił zbrojnych miasta, fratres milities – Sorun oraz Al Massah właśnie. Dwaj pierwsi są jak na razie poza naszym zasięgiem, ostatni – to nasz aktualny cel.

– Skoro ów szpieg miał sposobność zerknięcia na kopertę, czemu jej po prostu nie wykradł?

– Gdyby tak się stało, statek nie zacumowałby nigdy w Messynie. Co kilka godzin El Fuccio sprawdzał swoją przesyłkę. Gdyby nagle się okazało, że zniknęła, statek za-

wróciłby do Mediolanu, z trzema jedynie templariuszami na pokładzie, zaś pozostała załoga okrętu, czyli cywile, zostaliby wymordowani, by upewnić się, że dokument nie wpadnie w niepowołane ręce i nigdy nie ujrzy światła dziennego w jakimkolwiek porcie.

– Al Massah więc. Pierwszy potencjalny czytelnik daru. Wiem, gdzie jest jego dom. Duży budynek z czerwonej cegły i stromo opadającym dachem, niecałe dwieście metrów od dzielnicy portowej, niedaleko jest fontanna Oktawiana Augusta.

– Czterech strażników, dwóch na zewnątrz, dwóch w środku, dobrze uzbrojeni, z pułku Soruna. Najlepsi żołnierze templariuszy wywodzą się właśnie spod jego twardej ręki. Nie wpłyniesz do środka okrętem przez okno, Altairze.

– Masz dla mnie jakieś rady, Markizie? Gdzie i kiedy dostanę białe pióro przyzwalające na działanie?

– Rady jak zawsze mam. Za dwa dni koło godziny czwartej po południu Al Massah zwołuje naradę starszych braci zakonnych. Nie wiemy, ilu się ma stawić, ani kto dokładnie to będzie, lecz na pewno nie najwyżsi rangą. Zapewne zwierzchnicy dwunastu dzielnic miasta, przywódcy wycinków Messyny, koordynujący organizację zakonu w swoich częściach. Al Massah nie ma na tyle mocy, by zaprosić grubszą śmietankę, poza tym cała akcja ma się odbyć w tajemnicy, więc nie będzie chciał wzbudzać większego zainteresowania owym zebraniem. Podczas tego zebrania ma być przedstawiona treść daru zebranych, po czym zapewne dokument zostanie przesłany do Harraszima bądź Soruna. Nie możemy do tego dopuścić, by jego zawartość została ujawniona w tak szerokim gronie. Musisz więc uderzyć na początku narady, nim Al Massah wyjawi, co było zawarte w przesyłce. To twoja jedyna okazja, nie wiemy, gdzie teraz jest Al Massah, nie ma go w jego domu, zjawi się tam dopiero najprawdopodobniej podczas spotkania ze zwierzchnikami dzielnic.

– Rozumiem. Przeniknę pomiędzy zebranych i odbiorę życie temu, kto musi je stracić, zanim zdąży wypowiedzieć choć jedno słowo.

– List z imieniem twojej ofiary zatwierdzonej do opieki przez ojca wraz z piórem przyzwalającym na morderstwo dostaniesz jutro w samo południe pod kościołem Świętego Franciszka, gdy dzwon trzykrotnie wybije dwunastą. Niech prowadzi cię światło, a mrok przysłoni twoje czyny, Cieniu.

Na ławce miejskiej, znajdującej się na niewielkim skwerku, gdzie usytuowana była piękna w mniemaniu mieszkańców, nowa fontanna z posązkami Oktawiana Augusta, siedziało dwóch przygarbionych, starych rybaków, rozmawiających o nie najlepszych połowach z ostatniego dnia. Dziś jednak nie wypłynęli w morze, był bowiem dzień pański, niedziela. Władze miasta, niewątpliwie sympatyzujące z Kościołem katolickim, za którego zresztą sprawą do owej władzy doszły, zakazywały połowów tego dnia tygodnia. Aktualny władca miasta, lord Tyronus, Brytyjczyk z pochodzenia, był żarliwym katolikiem. Przed dwoma laty objął to stanowisko we wrześniu 1189 roku, jako następca muzułmańskiego władcy metropolii, Paladyna. Wtedy to właśnie mia-

ła miejsce trzecia wyprawa krzyżowa do Ziemi Świętej, zorganizowana przez króla angielskiego Ryszarda I, zwanego Lwim Sercem, która liczyła sobie ponad czterysta tysięcy krzyżowców, wśród których koło trzysta dwadzieścia tysięcy stanowiło europejskie rycerstwo. Reszta uczestników wyprawy to księża, misjonarze, kowale, budowniczy, kupcy, chłopci i inni. Ludzie ruszyli ślepo na wschód, niosąc krzyż przed sobą z imieniem bożym na ustach, wierząc w obietnicę wiecznego zbawienia, jaka przysługiwała uczestnikom krucjaty. Lord Tyronus panuje w mieście nieprzerwanie już od dwóch lat, mając do swojej dyspozycji sto sześćdziesiąt tysięcy zbrojnych, ocalałych po straszliwych walkach z Paladynem oraz Salah ad-Dinem. Nie był jednak bezpośrednim zwierzchnikiem wojsk na Bliskim Wschodzie. Choć miał władzę wydawania rozkazów oraz używania kilku regimentów, kuratelę nad armią oraz pełne dowództwo sprawował namiestnik miasta Jerozolima z poręki króla angielskiego.

Celem trzeciej krucjaty było odzyskanie Ziemi Świętej, by ponownie znalazła się pod zwierzchnictwem Europejczyków oraz Kościoła katolickiego. Tysiące ruszyły w ekspedycję na Bliski Wschód, by walczyć z muzułmanami. Pierwsza krucjata, która miała miejsce w roku 1096, zakończyła się oszałamiającym sukcesem jej uczestników. Papież Urban II w czasie synodu, mającego miejsce na rok przed wyprawą, wezwał rycerstwo europejskie do stawienia czoła niewiernym, w rękach których znajdowała się Ziemia Święta. Wezwanie to było podyktowane obawą, iż nowa potęga muzułmańska, Seldżuci, którzy zawładnęli Turcją oraz okolicznymi krajami, zahamuje pielgrzymki chrześcijańskie do świętego miasta Jerozolimy, leżącego nad Morzem Martwym. Papież obawiał się ponadto ataku Seldżuków na Wielkie Cesarstwo Bizantyjskie. Były to niewątpliwie obawy na wyrost. Kto wie, czy może nawet tylko oficjalna przykrywka prawdziwego celu wyprawy? Jerozolima została jednak zdobyta przez krzyżowców, którzy okupili powyższe zwycięstwo morzem własnej krwi. Druga krucjata okazała się kompletną klęską krzyżowców. W roku 1187 muzułmańskie wojska Salah ad-Dina, znanego w Europie bardziej jako Saladyn, odbiły miasto oraz większą część Ziemi Świętej z rąk chrześcijan. Ostatnia wyprawa zmieniła jednak ten stan rzeczy, ponownie w roku 1189 oddając je w ręce krzyżowców zza Morza Śródziemnego oraz Morza Czarnego.

Nur ad-Din z dynastii Zengidów, którego celem było odbicie z rąk krzyżowców Syrii i Jerozolimy, opanował po klęsce drugiej wyprawy krzyżowej Damaszek, który oddał się w jego ręce w obliczu groźby ze strony chrześcijan, oraz Syrię, którą władał następnie do roku 1174. Następnie swą uwagę zwrócił na państwo Fatymidów w Egipcie. Wysłał doń w 1163 roku swe wojska, wśród których znajdował się także Saladyn. Szawar – sułtan Egiptu – poprosił o pomoc króla Jerozolimy, Amalryka I. Ten poprowadził swe wojska nad Nil i oblegał żołnierzy Nur ad-Dina w ufortyfikowanym mieście Bilbeis. Ad-Din zaś w tym samym czasie, wykorzystując zaangażowanie Europejczyków w Egipcie, najechał Antiochię oraz zmasakrował broniące się tam chrześcijańskie wojska. Książę regent Antiochii, Renald de Chatillon dostał się

do niewoli. Antiocheńczycy, król Jerozolimy oraz cesarz bizantyjski Manuel I Komnen nie byli zainteresowani wykupieniem księcia. Następnie, aby przyspieszyć wynik działań wojennych w Egipcie, Nur ad-Din wysłał tam skalpy pokonanych obrońców Antiochii. Zaowocowało to wycofaniem się obu armii z Egiptu. W 1167 roku władca Syrii ponownie wysłał nad Nil swe armie, nie godząc się z rezygnacją z planów podporządkowania sobie Egiptu. Amalryk powtórnie został wezwany na pomoc przez Fatymidów. Syryjskie wojska wycofały się pod Aleksandrię. Król jerozolimski zwrócił się po tym nagle przeciwko Szawarowi i obległ Bilbeis. W zaistniałej sytuacji niedawni wrogowie: Nur ad-Din i Szawar – połączyli swe siły i wyparli chrześcijan z Afryki. Gdy sułtan Egiptu został zamordowany w tajemniczych okolicznościach, Nur ad-Din przejął pełną kontrolę nad Egiptem. W imieniu władcy Syrii władzę sprawował tam wkrótce Saladin, który po jego śmierci w 1174 roku opanował także samą Syrię oraz Damaszek i założył dynastię Ajjubidów.

Rybacy rozmawiając nie zauważyli, w którym momencie przysiadł się obok mężczyzna w białym stroju, po którym wywnioskowali między sobą, że jest jakimś zapewne mnichem z nieznanego im zakonu. Altair siedząc na ławce, obserwował budynek z czerwonej cegły. Był to świetny punkt obserwacyjny. Widać stąd było bramę główną, prowadzącą na mały plac usytuowany przed budynkiem, wewnątrz wysokiego na dwa i pół metra muru z szarego kamienia. Ponad murem widniał sam budynek, dobrze widoczny z tej odległości, która oscylowała wokół 60 metrów. Ściana frontowa była jednolita, bez zbędnych urozmaiceń, z dwoma wąskimi oknami ponad linią drzwi wejściowych. Przy bramie stało dwóch strażników, wyraźnie postawionych dziesiętgo dnia w stan wzmożonej gotowości. „Markiz nie pomylił się”, pomyślał od razu Altair. Siedząc na ławce w pełnym słońcu, czekał na rozwój dalszych wydarzeń. Al Massaha jeszcze nie było w środku, dom był więc pusty. Przekonany o tym, iż gospodarz przybędzie wcześniej niż reszta uczestników zebrania, Altair postanowił zakraść się do środka, gdy tylko ten przybędzie na miejsce. Po raz ostatni zmierzył wzrokiem dwóch strażników przy bramie, potem spojrzął na szary kamienny mur, po czym wstał z ławki i spokojnym, wolnym krokiem udał się w kierunku rogu budynku nim otoczonego. Na ulicy aż roіło się od mieszkańców miasta, co ułatwiło niezauważalne zbliżenie się do zabudowania. Teraz skrył się za narożnikiem muru i wystawiwszy głowę, obserwował uważnie strażników oraz ulicę przed bramą. Widział wyraźnie po czarnych krzyżach na pelerynach, iż tak jak się spodziewał, strażnicy byli templariuszami. Zwrócił też uwagę na miecze z włoskiej stali. Zakonnicy, wyraźnie znużeni panującym upałem, tupali, lekko bujając się z jednej nogi na drugą. Ulica była niezwykle ruchliwa. Tłok na niej panujący zdawał się też trochę ich rozpraszać. De Sao schował głowę z powrotem za narożnik muru i poprawił lewą ręką prawy przedramiennik, który był nałożony w ten sposób, iż zaczynał się na wysokości nadgarstka, a kończył zaś na linii pięciu centymetrów poniżej łokcia. Jego prawa dłoń była nieruchoma, ani razu nie wygiął nawet o centymetr nadgarstka, poprawiając go.